

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

[Powieść z dni ostatnich.

19

— Co pani robił... Na taki upał!... Toż można dostać porażenia słonecznego!...

— Ja się słońca nie boję!... Owszem, niech piecze, niech grzeje, niech pali!... Uchl! — wykrzyknęła, podnosząc głowę i mrużąc oczy, które blask oślepiał.

Wygięła w tył ramiona, przez co pod starą, ciasną bluzką silniej uwydatniały się jej cudnie zaokrąglone, jędrne, nieduże piersi.

Usta rozchyliły się, niby dojrzały owoc, który pękł z nadmiaru soków. Na twarzy miała wyraz żywiołowej, dzikiej rozkoszy.

Bronzowe włosy w słońcu śniły, jakby złotem niemi przelane.

Łuniewski patrzył i nagle zaczął oddychać szybko, ciężko, nierówno.

Pochwycił Józia za rękę, nieco powyżej dłoni.

Jego ręka była tak rozpalona, że kobieta, która z lubością nurzała się w upale promieni słonecznych, odczuła to dotknięcie, jak spalenie.

Drgnęła, przybrała naturalną swoją postawę i spojrzała pytająco na Łuniewskiego, którego oczy stały się zupełnie zielone.

— Co panu?... — zapytała, odsuwając się trochę od niego.

— Niechże pani da spokój!... Proszę włożyć kapelusz — zaczął przerywanym, zduszonym głosem. — To naprawdę szaleństwo!... Można zachorować!...

— Ach! Więc to była troskliwość o moje zdrowie?... Dziękuję panu... — powiedziała Józia z jakimś nieokreślonym spojrzeniem, które mogło być zarówno wzruszonym, jak ironicznym.

Włożyła kapelusz, nie patrząc na swego towarzysza.

I znowu zapanowała cisza, wśród której słychać było tylko szelest ich kroków i przyspieszone nieco oddechy.

Tym razem kobieta przerwała pierwszą milczenie. Wskazując na pole owsa, obok którego przechodzili, zauważyła:

— Marnie w tym roku zboża rosną... Nic dziwnego... Późno zasiane, a teraz posucha...

— To pani zna się na gospodarstwie rolnem?... Skądże?... Urodzona i wychowana w mieście...

— Zeszłego roku całe lato aż do późnej jesieni spędziłam na wsi, u mojej przyjaciółki... Tam nauczyłam się wiele, podczas tego pobytu w Zalesinkach...

Łuniewski spojrzał zdziwiony.

— W Zalesinkach?... U pani Krystyny Wolskiej?...

— Pani Wolska bawiła wtedy w Szwajcarii. Ja byłam u jej siostrzenicy i wychowanki, Anielki Walczakowej.

— Więc Anielka jest przyjaciółką pani?

— A pan ją zna? — wykrzyknęła Józia.

— Oczywiście!... To moja kuzynka i znamy się od dzieciństwa.

— Pan jest kuzynem Anielki. Nie! Doprawdy, co za zdarzenie!...

— Czyżby w tem było coś tak nadzwyczajnego? Ja mam dużo kuzynek.

— No, ale nie takich, jak Anielka. Taka złota, kochana, jak ona, to jest tylko jedna na świecie! — oświadczyła Józia tonem, wykluczającym wszelką na ten temat dyskusję.

— Pani tak bardzo ją lubi?...

— Czy lubię!... To żadne określenie „lubię”, ja ją kocham, uwielbiam. Żeby pan wiedział, ile ona mi dobrego zrobiła! Gdyby nie ona, to oho!... Zginęłabym marnie, jak ruda mysz... Kto wie, co by ze mnie było, a możeby mnie już wcale nie było!...

— Czy pani nie zamierza tego roku pojechać do Zalesinek? — zapytał żywo Łuniewski, któremu zaczął świecić w głowie pewien plan.

Józia posmutniała.

— O! Nie — odpowiedziała cicho — nie mogę jechać do Zalesinek.

— Dlaczego? Czyżby mąż pani był przeciwny temu?...

— I to także... Konrad i Anielka jakoś nie bardzo sympatyzują ze sobą... Ale to byłaby przeszkoda drugorzędna... Jest coś ważniejszego...

— Czy wolno zapytać, jaka to przeszkoda?

Nie pytam przez ciekawość, ale może pomógłbym usunąć...

— Nicby pan nie pomógł, a powiedzieć panu nie mogę... Ale mój pobyt w Zalesinkach obecnie jest niemożliwy — absolutnie niemożliwy!...

— To krzywda dla pani, że pani nie może jechać...

— Nie krzywda, to z mojej własnej winy...

— Co ona tam zbroiła? — pomyślał Łuniewski. — Czyżby było coś z Walczakiem?... Ale chyba nie... Może to ta historia z nauczycielem ludowym... W każdym razie dobrze wiedzieć, że one się tak przyjaźnią z Anielką...

Dla Józii wiadomość o pokrewieństwie Łuniewskiego z Walczakową była miłą niespodzianką, podnieciła ją, ożywiła i do rozmowy wprowadziła odrazu cieplejszy, poufalszy ton.

Józia, rada, że ma z kim mówić o przyjaciółce, rozgadała się na dobre. Opowiadała o swoim poznaniu się z Anielką, o pobycie w Pradze i kilkakrotnie powtarzała, że nie rozumie, dlaczego ją ta śliczna, najmądrzejsza, najlepsza Anielka tak polubiła, chociaż mogła mieć innych przyjaciółek dosyć do wyboru.

— Ale ja rozumiem, dlaczego... — odpowiadał jej w myśli Łuniewski.

I on się teraz rozkrochmalil zupełnie, a z twarzy jego znikł gdzieś ironiczny grymas, jakby się rozplynał w szczerym, swobodnym uśmiechu.

Nagle Józia zatrzymała się i wskazując na rosnący na dość stromym urwisku krzak dzikiej róży, obsypany bogatym różowym kwieciami, zawołała:

— Muszę sobie narwać tych róż...

— Ja pani urwę...

— Pokłuje się pan, podrapie...

— Myśli pani, że mi to pierwszozna?... Swój jego czasu niezgorszy był ze mnie urwisz...

— Ejże!... Doprawdy... Jakoś tego nie widać...

No, zobaczymy, jak pan sobie da radę z tą różą...

Tylko, jak się pan pokaleczy, to proszę nie płakać!...

— Niech się pani nie obawia... Nie będę płakał...

Józia usiadła na trawie i przypatrywała się z ciekawością, jak Łuniewski mocuje się z kolczastymi gałęziami. Kolce czepiały się jego ubrania i drapały mu ręce.

— Dosyć, dosyć już będzie... — wołała.

Z tryumfem podawał jej kilka gałązek, na których drżały nietrwale kwiaty róż...

Ręce miał, jak przewidywała Józia, pokłute, a jeden palec tak rozorany jakimś zadzierzystem kolcem, że krew wystąpiła dużymi kroplami.

— Boże!... Pan się skaleczył!... Dla mojego kaprysul!... Dziękuję panu! Cudne róż! Ale ten pański palec!...

— Głupstwo!...

— Ja go panu zaraz obmyję!...

Położyła różę ostrożnie na ziemi i wyjęła z za paska chusteczkę. Zmoczyła ją w małym, wąskim strumyczku, który cicho i sennie szemrał bliski wyschnięcia i zaczęła troskliwie obmywać krople krwi.

Łuniewski stał bez ruchu, wdychając zapach jej włosów.

Szła ku niemu od niej fala rozkosznego upolenia, serce zaczynało bić prędko i mocno...

A jednocześnie drugi człowiek, gdzieś w głębi, chichotał:

— Spacer, wierszyki, rwanie róż... Sztubacka sielanka... Tylko, czy koniec będzie równie sentymentalny?... I jaki będzie ten koniec?...

Oczy jego z pochylonej głowy Józii spłynęły na jej rękę, w której frzymała chusteczkę, i na ślubną obrączkę.

— No, już dobrze — zdecydowała Józia, wykręcając moką chusteczkę — już krew nie idzie... Zgoi się do wesela...

— Do czyjego wesela?...

— Jakto do czyjego?... Oczywiście, że do pańskiego, bom ja już przecież mężatka...

— Jaki koniec?... Jaki koniec?... — załopotalo Łuniewskiemu znowu po głowie.

— Taki będzie koniec, jaki zechcę — powiedział sobie mocno i twardo, ogarniając postać Józii władcą spojrzeniem mężczyzny, który zdobyć chce i musi.

— Nie chcę tak!... — zawołała nagle, kapryśnie Józia.

Łuniewski drgnął.

— Co! Czego pani nie chce?!

Pokazała mu zerwane przed chwilą różę.

— O! Już kilka płatków opadło!... Szkoda! Takie śliczne i pan się tyle namęczył, zrywając!...

— Jeżeli pani przeszkadza, to niech pani rzuci!...

— Co to, to nie... Przypnę sobie do bluzki... Widzi pan, doskonale!... Ładnie, prawda?...

— Bardzo ładnie — odpowiedział, zaglądając w jej roześmiane oczy, które miały teraz barwę najczystszych turkusów.

— Idziemy dalej, pani Józio... Chyba, że pani zmęczona i chce odpocząć...

— Wcale nie jestem zmęczona... A dokąd pójdziemy?...

— Tam, pod las.

— Nie, nie chcę do lasu. Wolę ku tym polom ziemniaczanym. Widać tam jakieś kobiety... okopują ziemniaki... Pogadam sobie z nimi.

Poszli dalej — szerokim padolem łąkowym, porośłym trawą i okrągłymi liśćmi podbiału.

Po chwili milczenia Łuniewski zaczął:

— Pani Józio, prawda, że mi się należy nagroda?...

Józia przekrzywiła trochę głowę, jak ptak, który się czemuś ciekawie przypatruje.

— Nagroda?... A za co?...

— No, choćby za to — wskazał różę przy jej bluzce i swój skaleczony palec.

— Tak! A to pan taki interesowny? Za taką drobnostkę już się żąda nagrody... Dobrze, że wiem... Będę się wysirzegała na przyszłość... Bo cóżby to było, gdyby sobie pan nie jeden tylko palec, ale naprzykład całą rękę skaleczył!...

— Ach! Ty mała żmijko, poczekaj!... — pomyślał, ale gniewać się nie mógł, bo była za nadto ładna i ponętna z pogardliwie-filuterną miną i szelmowsko przymrużeniami oczyma.

— Mimo tak niepoehlebnego sądu, będę konsekwentny i poproszę: Niech mi pani coś zaśpiewa...

Twarz Józii rozjaśniła się słonecznym uśmiechem dziecinnej uciechy.

— To panu o mój śpiew chodziło?!

— A pani myślała, że o co?...

Spojrzał jej w oczy tak zuchwale i przenikliwie, że, zmieszana, zaczęła mówić bardzo szybko:

— Zaśpiewam, owszem, nawet chętnie... Taki spacer usposabia przecież do śpiewania... Ja zresztą często czuję w sobie taką silną chęć, żeby dużo mówić, głośno się śmiać, biegać i śpiewać na umór... A nie mogę teraz — muszę milczeć, jak ryba i siedzieć grzecznie, jak chińska figurka z porcelany.

— Dlaczego?

— Bo moja świekra wołałaby z pewnością przysłuchiwać się rykom obdzieranego żywca ze skóry krokodyla, niż słuchać mojego śpiewu, albo śmiechu...

— Tak?...

— A rozumie się. Raz mi się zachciało zabrzdąkać trochę na fortepianie... Wiem, że nie gram artystycznie, ale nie fałszuję przecież... Poszłam do salonu, ale ona mi dała fortepian!...

— A niedawno zapewniała mnie pani, że stonsunki ze starszą panią Żarnicką są niezwykle harmonijne...

Józia spostrzegła dopiero teraz, że powiedziała za dużo. Zaczzerwieniła się.

— Ech! Nie... bo...

— Nie niebo, pani Józio, nie niebo... Niech się pani nie wysila napróżno na wykrety, bo ja i tak wiem, co mam o tem myśleć...

— A co to pana obchodzi?...

— Pewnie, że nie... A może trochę... W każdym razie wolno mi robić obserwacje...

— Że też ja się zawsze muszę niepotrzebnie z czemś wygadać!... — mówiła, szczerze zafrasowana.

— Jeżeli pani chodzi o tajemnicę, zapewniam, że jestem dyskretny... Ale pani obiecała śpiewać... Czekam...

— Kiedy już nie mam ochoty...

— To się tylko pani tak zdaje... Proszę spróbować...

— Niech i tak będzie... A co panu zaśpiewać?...

— Co pani chce.

— A jakie piosenki pan lubi?

— Wszystkie, byle tylko ładne...

— Ano, to zaśpiewam, co ja lubię... Może się panu spodoba, a nie, to trudno...

Józia zapałała się w dal, odetchnęła głębiej i pełnym głosem zawiodła bezpretensjonalną piosenkę, dziwnie harmonizującą z jej wiośnią postać i z otoczeniem, przesyconym słońcem i zielenią.

„Żyło we wsi dziewczę hoże,
Cudne, niby polny kwiat,